

## KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

Źródła francuzkich dziejopisów. — „Cesarze rzymscy” przez p. Zeller. — „Pamiętniki i historia we Francyi” przez Karola Caboche. — „Niewiasta w XVIII wieku” przez panów Goncourt. — „Dzieła dramatyczne Tirso de Molina” przekład pana Royer. — Przyjęcie księcia Broglie do Akademii, mowa pana Saint-Marca Girardin. — „Wiadomości literackie.

**D**wa są źródła, z których nieustannie czerpią dziejopisowie francuzcy: pierwsze tworzą starożytne roczniki; drugie, przysługujące tylko historii francuzkiej, składa się z pamiętników pisanych od najdawniejszych czasów przez Francuzów, którzy podawali sobie pióro, jak greccy biegacze, pochodnią.

Pod względem literackim oba te źródła są skarbem, ale piękna forma historii nie wystarcza: prawda jest jej podstawą, a na prawdzie właśnie tym nadobnym księgom zbywa. Erudyci wykryli mnóstwo fałszów w opowiadaniu Liwiusza, na którego jak na ewangelią powołują się późniejsi dziejopisowie. Niebuhr mianowicie, roztrzasał dzieje pierwszych wieków rzeczypospolitej, rozwił mnóstwo ładnych bajeczek Liwiusza. Gdyby jaki drugi Niebuhr wziął się do sprawdzania dzieł Tacyty lub Swetoniusza, gdyby odbudował historię państwa rzymskiego wedle nowych odkryć, napisów i pomnikowych studyów, wedle prawodawstwa a mianowicie administracyi krajowej; zaręczyć można, że zdanie powszechne o tym przebiegu dziejów świata zupełnieby się przeobraziło, a przynajmniej wielkiej uległo zmianie.

Drugie źródło, sprawozdania naocznych świadków, podane w lekkiej formie zapisków, jeszcze kłamliwsze. Jakkolwiek rzecz to dla miłości własnej nieprzyjemna, faktem jest, że mało kto widzi wyraźnie otaczające go rzeczy. Chwilowe wrażenie, namiętności, dystrakcje, uprzedzenia, wszystko to oślepia człowieka, albo pogląd jego fałszuje. Wyobraźnia ze swjej strony figle mu płata, nadając wedle usposobienia duszy rozmaite kształty wypadków, a czasem stwarzając je z niczego, własnym kosztem, ku zabawie potrzebującego rozrywki umysłu. Nie trzeba tyle: dość opuścić jakiś szczegół będący kluczem zagadki, pominąć słowo odkrywające ducha postępków, a prawda przekreśloną lub zatartą zostanie.

Nie można więc ufać pamiętnikom, a nawet czytając je, ciągle na ostrożności mieć się potrzeba, bo w tych opowiadaniach fantazja autora głównym jest aktorem porywającym i zwodniczym.

W tym rodzaju, kronikarze dobroduszeni są najmniej bezpieczni: z dobrą wiarą bowiem stwierdzają wszystko co się o ich uszy obilo, nie domyślając się wcale, że kłamią. Nie raz już powszechność wywiedzioną została w pole przez tych uczciwych fałszerzy, których nikt nie podejrzewa, a którzy pierwsi byli oszukanymi. Relatorowie mniej niewinni, mają coś w mowie, w przedstawieniu rzeczy, co ich zdradza i każe się mieć na baczności.

Mimo jednak tylu powodów, które powinnyby czynić je podejrzanymi, pamiętniki historyczne nie budzą nieufności. Francuzi przekładają je o wiele nad historią we właściwem znaczeniu tego słowa, dla tego, że zabawne, że opowiadają mnóstwo anegdot, o których można powiedzieć: *si non è vero, è ben trovato*; dla tego, że obfitują w portrety ożywające opowiadanie, że mają błyskotliwość stylu przyciągającą umysł, jak dyamenty oko. Codzień można słyszeć ludzi poważnych, powołujących się na świadectwo autora jakiegoś pamiętnika, jako na objawienie. Ogół wierzy na słowo dworskim gadułom, i z tego gadulstwa wyrobił sobie pojęcie o monarchach, ministrach i wszystkich ludziach, którzy piastowali narody, lub wpłynęli poważnie na wypadki krajowe.

Z pierwszego z wskazanych źródeł, starożytnych dziejopisów, czerpał bez żadnej kontroli pan Zeller autor „Historii rzymskich cesarzy”, która teraz wyszła z pod prassy.

Z drugiego, pamiętnikowego źródła czerpał pan Ca-boche, autor obszernego studium pod napisem: „Pamiętniki i historia we Francji”.

Uczony professor Zeller był w stanie dostarczyć dzieła prostującego stare pomyłki. Tymczasem jego badania starożytności ograniczają się na powtarzaniu odwiecznych fałszów, wyrzeczonych sławnymi usty. Zamiast opowiadać historią wszystkich cesarzów rzymskich, co przechodzi możność jednego człowieka, mógł być ograniczyć się na kilku panowaniach, a napisać je z gruntownością przewyższającą poprzedników; zamiast kreślić wykwintne, ale nie zawierające żadnych nowych szczegółów, streszczenie tego co powiedziano, mógł być wystawić nowy pomnik krytycznej historii. Przedmiot wart pracy: nie ma nadeń szerszego i ciekawszego. Świat poddany centralizacji bezprzykładnej; jedność rzymska chłonąca rozmaite rasy i zastępująca na czas długi podział Opatrzny ziem, potężnym skupieniem sił żywotnych ludzkości; sumienie powszechności oniemiałe, w umysłach odmet... tylko poczucie strachu i poddaństwa wyraźne. Na szczycie takiej społeczności człowiek jeden, olbrzym, czasami obłąkany, czasami mądry, w którego olśniona wyobraźnia ludu patrzy osłupiała... Administracja złożona z nieprzeliczonych kółek, dobroczynnych w jednym, zgubnych w drugim miejscu, a w łonie tej społeczności nieznany Bóg, świat nowy poruszający się tajemniczo, jako płód w żywocie matki.

Cóż może być godniejszego badań jak ten olbrzymi ustęp dziejów ludzkości?

Pan Zeller daje nań pogląd pobieżny. Książka jego czyta się przyjemnie, ale ostatecznie nic nowego nie uczy. Autor porobił wyciągi z Tacyta, Swetoniusza, Cassiusza i innych historyków cesarstwa: obraz ogólny, którego obrysy znane każdemu, kto chodził do szkół. Co do poglądu, pan Zeller wierzy chętnie we wszystko co przed nim powiedziano: na Swetoniusza powołuje się co chwila; nie

dyskutuje Tacyta; przyjmuje hurtownie zdania, któreby wymagały uważnego sprawdzenia; nie dobiera się do wnętrza przedmiotu, jak Niemiec, żeby zeń wydobyć fakta niezbite i sprawiedliwą ocenę: ale jak prawdziwy Francuz zegluguje po wierzchu, żeby w podróży miłą przepędzić chwilę.

Pan Karol Caboche studjuje rozmaite pamiętniki historyczne francuzkie. Rozkoszując się w nich, powiada, że żadna forma literacka nie nadaje się tak dobrze do rozwinięcia zalet francuzkich, jak ta pamiętnikowa. Dowcip, żywość, subtelne szyderstwo, wymowa, nie okresów, ale domyslników: wszystko to ma w pamiętniku szerokie pole popisu. Nie jedno z dzieł tego rodzaju stanowi chlubę literatury francuzkiej.

Też same zalety znajdujemy w książce pana Caboche. W szeregu studyów przypominających treść wszystkich ważniejszych pamiętników, wyekspensował nie mało dowcipu i jaskrawej farby. Taki rodzaj pisania równie stary jak język francuzki. Początkowo tchnie dzikością gallicką: cały charakter owych ludzi śmiałych, łatwowiernych, zapalnych i prozaicznych zarazem, wybija z ówczesnych pamiętników. Z laty, coraz ich większa ilość przybywa. W XVI wieku we Francyi kto w Boga wierzy, opisuje swoje przygody; nawet tacy, których z piórem w rękę wyobrazić sobie nie można, pisali wspomnienia. Wiek XVII posiada najbieglejszych latopisów, jeżeli tak pamiętnikarzy nazwać się godzi. Sully opowiedział poważnie swoje ministeryalne rzędy; Richelieu przekazał światu owoce swojego doświadczenia; Retz skreślił pogląd polityczny, pod względem historycznym wątpliwy, ale nader ciekawy jako spowiedź. Pamiętniki jego są testamentem upadłego męża stanu, fantazją poronionego dziejopisa, protestacją rozwiozłego sceptyka przeciw duchownej sukni, którą nosił. Jak wszyscy prawie autorowie pamiętników, Retz odmalował trafnie tylko siebie samego.

Saint-Simon, największy geniusz pamiętnikowy, zajmuje szerokie miejsce w dziele pana Caboche. Usiłuje on dowieść, że ta wyrocznia nie zawsze na wiarę zasługuje. Skoro uczony historyk opowiada jeden z wypadków lub osób, których dotknął Saint-Simon, łapie prawie zawsze

księcia para na gorącym uczynku kłamstwa lub pomyłki: zdarza się to przynajmniej pięć razy na dziesięć.

Co do sądów politycznych Saint-Simona, te nie wycięj warte jak jego relacje. Najprzód, nie miał wcale zmysłu męża stanu, choć miał wielkie do tego pretensje; następnie, przesady były w nim tak silne, że mogły zachwiać i rozsądniejszą głowę niż jego. Caboche dziwi się, że Saint-Simon oszukał tylu ludzi, bo w piśmie jego gniew i zazdrość jawnie zębami zgrzyta, nienawiść wybucha co chwila, a stronnictwo w oczy bije.

Nie wystarcza zwrócić na to uwagę publiczności, trzeba było dać dowody: wykazać, że świadek bezstronny, spokojnie patrząc, często się myli, a coś dopiero, człek namiętny, gwałtowny, żółciowy, zazdrośny i niezadowolony jak Saint-Simon. Tego autor nie zrobił; a tak łatwo było dowieść, że Saint-Simon mistrz słowa, ale niewierny świadek.

Nic świętszego jak sąd sprawiedliwy o ludziach, a nic też rzadszego. Ażeby rozproszyć ciemności otaczające myśli, pobudki i czyny człowieka wysoko postawionego i wielmożnego—ileż odwagi, czasu, ileż wytrwałości potrzeba! To też, rzadcy są prawdziwi dziejopisowie. Zważywszy ile na to, prócz odwagi cywilnej, pierworzędnych przymiotów potrzeba, dziwić się temu nie można. Wielki historyk musi być najprzód wielce pracowitym, żeby mógł dokonać studyów przygotowawczych; musi być ostrowidzem, żeby mógł rozróżnić prawdę; artystą, żeby potrafił ukolorować wypadki; filozofem, żeby ich znaczenie moralne zrozumiał; politykiem, żeby ocenił ważność interesów; pisarzem, żeby mógł nadać opowiadaniu kształt należyty. Nadto, powinien jeszcze być sceptykiem co do rzeczy ziemskich; inaczej, będzie powtarzał za panią matką pacyerz. Do pewności dochodzi się tylko za pomocą niedowiarstwa. Trzeba, żeby historyk jak Deskartes, wyrugował z myśli wszystko co dokonano pierw w przedmiocie, który przedsięwzię; żeby rozpoczął od zwątpienia najzupełniejszego; żeby wiedział najprzód to tylko, że nic nie wie. Tak umiotłszy sobie pole, niech dopiero założy fundamenta swojego gmachu: skoro zniesie dobrze obejrzawszy materiały, z którego ma budować, gmach stanie sam przez się.

Długa to praca, prawda, ale jedynie użyteczna i ostateczna. Cóż że długa? Dziejopisowi nie powinno chodzić ani o czas, ani o sławę, ale o prawdę.

„*Kobieta w XVIII wieku*” odmalowana przez braci Goncourt, należy do najlepszych szkiców obyczajowych, zdjętych z ówczesnej Francji.

Wielu znakomitych pisarzy francuzkich studyowało wielokrotnie wiek ubiegły. Saint-Beuve przedstawił go w Galeryi obrazów; Arsen Houssaye z najpiękniejszych jego postaci ułożył pełne wdzięku albumy; Jules Janin, zebrawszy z niego śmietankę, podał takową w łakociach literackich, w powiastkach i romansach.

Panowie Goncourt studyując żeńską połowę Francji, przedstawili, że tak powiem, buduar historyi. Książka powstała ze stosu tomów, broszur, rękopisów, listów; ale rzekłbyś, iż ów świat odmalowany więcej z pamięci niż z opisów, tak obraz jego kolorowy, tak żywe spostrzeżenia. Dewizą książki mogłyby być słowa Milтона: „Ktoby wszystko zrozumiał, wszystkoby przebaczył”.

Autorowie zaczynając rzecz od początku, pokazują najprzód kobietę XVIII wieku, w kolebce, zostawionej na łasce mamek a bardzo rzadko odwiedzanę przez matkę. Później, dziecko oddane guwernantce, z daleka od pieśczęt rodzicielskich, smutnie się chowa, gdzieś w najustronniejszej części domu. Matka zajęta zabawą, zaledwie daje córce krótkie posłuchanie rano, wraz z oschłym pocałunkiem. Etykieta w rodzinach surowsza jeszcze niż na królewskim dworze.

W tak chłodnej atmosferze, młode serce schło z pragnienia macierzyńskiej miłości, będącej pokarmem młodociannęj duszy. Klasztor, do którego oddawano podrastającą dziewczynę, wydawał jęj się rajem po domu rodzicielskim. Jeden z takich klasztorów światowych i wychowanie, jakie w nim dawano, przedstawiony z wielką znajomością rzeczy, jest może najlepszym obrazkiem malowniczej książki Goncourtów.

Dziewczę odbierano z klasztoru wtedy dopiero, kiedy już rodzina wybrała jęj męża. Był to zazwyczaj jakiś



ładny młokos, gładkiej politory a zimnego serca. Młoda żona gotowa była kochać go, a nawet ubóstwiać; ale małżonek mroził pierwsze dziewczęj duszy porywy, szydząc dowcipnie z miłości małżeńskiej. Miłość tak przyjęta, gasła, związek nawet był zerwany *de facto*; życie we dwoje stawało się nieznośne, nie możebne: kobieta znajdowała się bezbronna i samotna w obec wzywającego ją do pustoty świata.

Jeden z najwymowniejszych rozdziałów „La Dissipation du monde” pokazuje, jak powoli, zepsuta społeczność w swój wir porywa młodą mężatkę, jak odurza ję serce, olśniewa głowę, rabuje każdą ję chwilę, ruguje każdą myśl lepszą. Opis jednego dnia modnej damy, odsłania całe ję życie. Leżąc w łóżku już przywdziewa stosowny ubiór i przyjmuje gości; wstawszy, ubiera się drugi raz; w godzinę, raz trzeci i rozpoczyna przegląd sklepów, pospieszne wizyty, czeze rozmowy; potem idą spacer, pikniki, salonowe komedye, obiady, kolacye, wycieczki tajemne na jarmark do Saint-Cloud lub Saint-Germain... szereg uciech bez końca i miary, aż do zawrotu głowy, do stracenia oddechu... Istna to gonitwa pokutującej duszy pomiędzy majakami szczęścia.

Miłość sama jedna, mogła nasycić zgłodniałe próżniactwo, które więcej niż kiedy trapiło szlachcianki w XVIII wieku. Miłość téż, a raczej miłostki, były wielkiem, jedyném zajęciem owęj epoki. Jak starożytna wyspa Cypru, tak wiek XVIII zdaje się poświęcony rozkoszy. Rozkosz go wypełnia, denerwuje, daje mu natchnienia i pomysły, nawet powierzchowność wykwintnej bachantki.

Ta zaraza moralna tak gwałtowna i powszechna, opisana także wymownie. Autor maluje pokusę oblegającą kobietę. Pokusa jest wszędzie, działa wszelkimi sposobami na ducha i zmysł niewiasty: ubiór ją rozbiera, książki gorszą, muzyka rozmarza, rozmowa szydzi z ję skrupułów, obrazy i posągi ubóstwiają rozkosz zmysłową. Potępiono uczucie, wierność wysmiano; namiętność trwała nie dłużej jak różę; sztuka uwodzenia stała się uczoną strategią, prowadzącą do shańbienia kobiety jak biegle kierowana szpada do śmierci przeciwnika. Uwodziciel

nie udawał nawet zakochanego: zaczepiał szyderstwem, zwyciężał obojętnością, a porzucał wzgardliwie.

Tę żyłą złości krążącą pod białą i gładką skórą ówczesnej młodzieży, wyszukali autorowie i uwydatnili z wielką prawdą. Rozwiozłość XVIII wieku była szatańską, w całym Faustowskiem znaczeniu tego słowa.

„*De toutes les choses sérieuses, le mariage est la plus bouffonne*”. Powyższe zdanie Beaumarchaigo brano dosłownie. Łączono się z mocnym postanowieniem przeniewierstwa; zazdrość uważano za średniowieczny przesąd, miłość małżeńską za śmieszność. Nazajutrz po ślubie, lodowy mur stawał pomiędzy małżonkami. Książę Richelieu zastawszy raz swego giermka u nóg swjej żony, powiedział tylko taki morał: „Wylaś acpani służbę, że mię nie anonsowała, a gdybym to nie był ja, ale kto inny”? Hrabina Maugiron temi znów słowy skreśliła swoją do męża odezwę: „Piszę do waszmości, bo nie mam nic do roboty. Kończę, bo nie mam wam nic do powiedzenia. Sassenage bardzo niezadowolona, iż jest panią Maugiron”.

Rozpusta wtedy jak zawsze, miała swoją arystokracją, swój stan średni i motłoch. Pierwszą obsypywano zaszczytami, drugi pieniędzmi, a trzeci wzgardą. Żywot aktorek był jedną ciągłą apoteozą. Wielcy panowie u nóg ich klęczeli, usypując drogę złotem; słówka z ust ich wypadłe, zbierano niby drogie perły; milionerów i poetów miały na usługi, artystów na swym dworze jak piesków. Z życiem, atoli, kończyło się wszystko. Na ich trumnę nie było komu rzucić garści ziemi. Policya wywoziła je w nocy i gdzieś wyrzucała za miasto.

Tak znikwały owe komety nie objęte żadnym prawem zaprowadzonego porządku. Skrzyły się téż jak te gwiazdy błędne, ciągnąc za sobą długi ogon szalonego nieładu i bezdennego zbytku. Goncourt opisuje jak żyły, jak hałasowały, jak jeździły po polach Elizejskich w porcelanowych faetonach, ciągnionych ośmioma końmi w różami obsypanej uprzęży.

W rozdziale: „*la Beauté et la Mode*” jest trafna definicya modnego piękna. Historia urabia kobiety na swój obraz i podobieństwo: na czasy poprawne, żłobi bóstwa klasyczne, z jednej sztuki; w epokach rozwiozłych, lepi



małe statuetki z kawałków. Kobiety z czasów Ludwika XIVgo, są symetrycznie piękne: wydatne nosy, wielkie czoła, duże rysy, postawy karyatyd, gorsy podobne do rogu obfitości. Za Regencyi twarze zokrąglaly; nosy zmalały, rysy się starły: kobieta stała się zatartym szkicem wdzięku. Moda zrobiła zeń laleczkę. Na jej policzkach natarła farb rozmaitych, osypała ją muszkami, zamknęła w rogówce, owiała chmurą gazy i pudru. Z głów kobiecych perukarze porobili ogrody, pomniki, szarady...

Psychologia niewieścia nie mniej trafnie nakreślona jak fizyologia: ze stanowiska malarza obyczajów, autor wznosi się na stanowisko moralisty.

Rozdział „Dusza kobiety” odkrywa jej pustki wewnętrzne. Nadużycie dowcipu złamało w kobiecie sprężynę serca. Powietrze sztuczne świata, w którym żyła, wyczerpało jej żywotne źródła. Wcześniej czuć zaczynała okropną próżnię. Odtąd, już jedynym jej doradcą i przewodnikiem była nuda. Nuda rzucała ją w morze mętnych uciech: zajmowała na przemiany, fizyką, chemią, filozofią, medycyną. Nuda wiodła ją na biesiady Mesmera, wtajemniczającego w czary Cagliostro; nuda, nie kto inny, włożyła do walizy hrabiny Coigny, trupa, którego w swój willi dyssekować miała, dla zabawy.

Oliwy brakowało tym istotom bezsensnym, wiecznie płonącym; brakowało im mianowicie „mleka ludzkiej czułości”, o którym wspomina Szekspir: jaśniejąc, paliły siebie.

To też, jaka rozkosz, jaka błogość ogarnęła wszystkie, skoro Rousseau otrzeźwił omdlałe czucie, skoro przywrócił żywy wyschłym oczom! Owe rozczulenie zwilżające powszechną posuchę, ów roztop serc, opisany gorąco; mianowicie dobrze odmalowane wrażenie, jakie sprawiła natura, przez Roussa odnaleziona, niby zatraczona przez długie wieki części świata.

W istocie, Rousseau był jak ten, co w czasie duszącego skwaru w sali balowej otworzy okno na ogród pełen zieleni i czystych strumyków. Któż czytając utwory literackie owego czasu, nie poczuł zaduchu, jaki się robi w zamkniętych pokojach: nigdzie słońca, nigdzie wietrzyku, nigdzie nieba kawałka. Przyroda równie nie zna-

na pisarzom dwóch ostatnich wieków, jak geografia księżyca. Rousseau dopiero zdarł malowane kulisy, powyracał parawany od tak dawna horyzont zasłaniające. Zrobiło się światło, powiał wietrzyk, zaszumiały drzewa, noc gwiazdami się uiluminowała, słowik zaśpiewał upojony miłością... a ludziom się zdało, że się przed nimi otworzyły drzwi raju.

Rzecz dziwna! po takiej młodości, starość kobiet XVIIIgo wieku jest zwykle pogodna i poważana: czas kołł ich niepokoję, wzmacniał umysł, opromieniał je spokojną jasnością zachodzącego słońca. Czas, wtedy podwyższał kobietę, nie zniżał: lata utwierdzały ją na tronie. Jakąż potęgą były takie naprzykład matrony, jak marszałkowa luksemburska. Młodzież nisko im się kłaniała, całując jak relikwie, poźółkłe ich ręce. Radzono ich się, jak wyroczeni; do ich salonu wchodzono jak do świątyni; uśmiech ich był puklerzem, sarkazm strzałą, a obelga zabójstwem.

W tym pobieżnym poglądzie, zaledwieśmy wskazali piękne ustępy górujące nad mnóstwem zajmujących szczegółów w książce panów Goncourt. Pominęliśmy odbudowane zręcznie salony, gdzie szczyt społeczności francuskiej grupuje się artystycznie. Z tego jednak cośmy powiedzieli, czytelnik wyobrazi sobie, jak zajmującą być musi książka, która wywołując nadobne cienie niewieście, w nich uosabia cały wiek ubiegły. W poprzednich już pracach swoich, autorowie dowiedli wielkiej znajomości XVIIIgo stulecia, nigdy atoli nie odmalowali go tak szczegółowo, jak w tym przebiegu dziejów, od Regencyi do Ludwika XVIgo. Co do stylu, ten nieraz zachwycić może tych, co lubią wyrażenia niepospolite, kwieciste okresy, wykwintne zwroty mowy, słowem, przedziwności języka. Wygląda to jak malowidło historyczne, do któregoby artysta domieszał zręcznie, nieco ciepła i życia z potocznego obrazu.

---

Alfons Royer, dyrektor Wielkiej opery paryzkiej, wydał był zeszłego roku przekład celnych utworów dramatycznych Michała Cervantesa, o którym to przekładzie

mówiliśmy w swoim czasie. Tego roku wydał tłumaczenie pięciu sztuk głównych sławnego w Hiszpanii, a mało znanego we Francyi dramaturga, Tirso de Molina.

Teatr hiszpański posiada trzech wielkich twórców: *Lope de Vega*, *Calderon de la Barca*, i *Tirso de Molina*. Wszyscy trzej księża, współcześni i współzawodnicy, żyli przecież z sobą w przyjaźni.

Fray Gabryel Tellez, podpisujący pseudonimem Tirso de Molina, doktor teologii, biegły mówca i przeor klasztoru Soria, napisał przeszło trzysta sztuk teatralnych. Hiszpanie posiadają ich teraz tylko siedmdziesiąt siedm, ale wiadomo, że napisał trzysta. Na obce języki przełożono zaledwie kilka, chociaż autor jest prawdziwym geniuszem komicznym: ma werwę, blask, twórczość i największy dar pisarzy dramatycznych, dar obserwacyi.

Pan Royer przetłumaczył pięć najciekawszych sztuk Molina, i wydał je w jednym tomie z przedmową, która jest zarazem biografią i oceną autora.

Pan Filaret Chasles w swoich *Studyach Hiszpańskich* powiada, że Tirso „jestto Beaumarchais w sutannie.” Powiedzenie to charakteryzuje bardzo dobrze jedną stronę talentu Molina; ale prócz szczypiącego dowcipu, posiadał on gruntowniejsze przymioty niż Beaumarchais: jako myśliciel głębszym jest od Lopeza i Calderona, chociaż nie dorównywa im w sztuce dramatyzowania. Indywidualność jego nader wybitna: jest on filozofem i znawcą serca ludzkiego. Każdy rodzaj był mu przystępny i przeszedł wszystkie, począwszy od dramatu historycznego i religijnego, aż do komedyi obyczajowej: od szczytu dramatyczności i liryzmu, umiał się przerzucić do komiki, a nawet do błazeństwa. Pisał równie kolorowo jak Lope, a poprawniej; łatwość rymowania miał ogromną! Zbogacił język hiszpański mnóstwem nowych wyrażeń; nie mało jego wierszy weszło w przysłowie. Wynalazł także mnóstwo nowych przedmiotów dramatycznych, z których wielu późniejszych pisarzy korzystało. I tak, pierwszy przedstawił typ Don Juana, z którego Molier wziął swoją *Kamienną Biesiadę*, a Bajron swój poemat. Montalvan przywłaszczył sobie prawie dosłownie jego *Kochanków z Ternelu*. Calderon od niego pożyczył osnowy *Przezornego Zazdrośnika* i na nię

zbudował swą sławną dramę, „*Za tajemną zniewagę, tajemna zemsta*.” Pomijamy innych rodaków, którzy hurmem rabowali Molina.

Gabryel Tellez urodził się w Madrycie; data jego urodzin dokładnie niewiadoma. Ponieważ przywdział habit, licząc lat około czterdziestu, w roku 1613, wnoszą z tego, iż urodzić się musiał około 1570 roku, to jest siedm lub ośm lat po Lope de Vega. Młodość spędził na sławnym uniwersytecie w Alcali, wówczas najuczeńszem z miast znanych, do którego uczęszczało przeszło 10,000 uczniów. Od pierwszych professorów hiszpańskich uczył się teologii i filozofii.

Ukończywszy nauki, Tellez pojechał do Madrytu, gdzie rozpoczął gorączkowy zawód dramaturga. W ciągu lat czternastu napisał, jak twierdzi, trzysta sztuk dla teatru, które były przedstawiane z rozmaitem powodzeniem. Częściej zapewne ze złem niż dobrem, bo w roku 1613 autor zniechęcony osiadł w klasztorze de la Merce w Toledo, gdzie już pozostał aż do śmierci, która zabrała go w siedmiesięciu ośmiu latach, roku 1648.

Jeden z najznakomitszych współczesnych krytyków hiszpańskich, Don Agustin Durau, dzieli teatr Tirsa na trzy klasy: komedye intrygowe i obyczajowe; komedye historyczne i bohaterkie; komedye religijne. Pięć sztuk przetłumaczonych przez Royer'a, dają pojęcie o każdym z tych rodzajów. *Uwodzień Sewilski* rozpoczyna; po nim idą: *Mądrość Kobiety*; *Wieśniaczka z Vallecasy*; *Potępiiony za brak wiary*; i *Don Gil*.

Prawdziwe zdarzenie podało autorowi pomysł *Uwodzień*. Juan Tenorio, Sewilezyk, uwiódłszy córkę komandora Ulloa, zabił go w pojedynku. Mnichy z klasztoru San Francisco, gdzie stanął pomnik komandora, zabili Juana i rozcłogli, żę go posąg zabrał do piekła. Tirso pierwszy tę legendę przeniósł na scenę. W dramacie wypadek szersze przybiera rozmiary. Akcja rozpoczyna się w Neapolu, sceną nocną. Do królewskiego pałacu zakrada się Don Juan Sewilski i uwodzi księżniczkę Izabellę. Król każe chwycić złoczyńcę, ale ten umyka na okręt i płynie do Hiszpanii. Statek rozbija się na wybrzeżu Tarragony; tam młody rozpustnik uwodzi znowu wieśniaczkę nazwiskiem

Tisbea. Przybywszy do Sewilli, czyni toż samo z Anną córką komandora Ulloa. Król wypędza go do miasta Lebija, gdzie znów poznaje młodą Amintę i w dzień jej ślubu przebiera się za para młodego. Po tém dopiero następuje scena w klasztorze, gdzie napastowany posąg, przyjmuje zaprosiny. Nie na tém koniec. Komandor zaprasza z kolei na kolacyą Don Juana, i dopiero w kościelnych grobach go zgładza.

Taka jest treść pierwo-wzoru wszystkich Don Juanów. *Uwodziciel Sewilski* najślawniejszy z dramatów Melina, pod względem budowy jest najsłabszém z dzieł jego, atoli sceny oderwane są piękne.

*La Prudencia en la Muger* (Mądrość Kobiety) dramat historyczny, obejmuje czternaście lat małoletności króla Kastylii, Don Fernanda IV. Matka jego regientka, Dona Maria, wdowa po Don Sanchu Śmiałym, broni korony syna przeciw chciwości stryjów, infantów Henryka i Jana, starających się o jej rękę z interesu, oraz przeciw Don Diego de Haro, prawdziwie zakochanego w niej granda.

Dramat zawiera przepyszne ustępy, charaktery narysowane potężnie, cały napisany prześlicznie: Maria jako królowa i matka, odmalowana wzniosłe. Don Diego wygląda jak średniowieczny portret: miłość jego dla królowej, pośród walki z nią, wybucha w sposób dziwnie sympatyczny. W drugim akcie téj sztuki jest kilka sytuacji wyższych jak w Kornelowskim *Cydzie*. Rozwiązanie tylko chybione.

*La Villana de Vallecas* (Wieśniaczka z Vallecas) komedya obyczajowa uchodzi za najlepszy utwór Tirsa. Komedya ta napisana z ogromném zyciem, uwydatnia prześliczną rolę kobiety. W Hiszpanii grają dotąd z wielkiem powodzeniem tę sztukę.

*El Condenado por desconfiado* (Potępiony za brak wiary) jest dramatem religijnym napisanym wedle ówczesnych wyobrażeń. Jestto ewangeliczna przenośnia, czyniąca ludowi zrozumiałym katolicki dogmat łaski. Z jednej strony autor wystawił anachoretę, który po dziesięciu latach ciągłych modlitw i postów, nagle traci łaskę dla tego, iż zwątpił; obłąkany tą pierwszą winą, wpada w potępienie wieczne. Po drugiej, postawił rozbójnika



skalanego wszech zbrodnią, który zbawia się pokutą i w ostatniej godzinie otrzymuje za pomocą silnej wiary odpuszczenie Boże.

Ten dramat religijny jest bardzo sławny w Hiszpanii. Nam, dzieciom XIX stulecia trochę dziwnym się wydaje, trochę stosem inkwizycyi trąci, ale jako próbka pojęć ówczesnych jest bardzo ciekawy.

Cervantes w *El Rufian dichoso* także wprowadza dogmat *laski*: bohater jego także skruczą kupuje sobie niebo; ale w dramacie Cervantesa nie ma w przeciwstawieniu świętego, który zwątpieniem gubi duszę na wieki.

Za czasów Tirso de Molina było w Madrycie czterdzieści teatrów, na których występowało przeszło tysiąc aktorów, nie licząc w to scen prywatnych i dworskich w Buen-Retiro i Casa de Campo, willi Filipa IV, który nie tylko lubił teatr, ale sam układał sztuki.

W Buen-Retiro przedstawienia odbywały się wieczorem przy woskowych świecach. Zwykle repertuar publiczne bywały we dnie pod gołym niebem, bez innych ścian prócz płótna rozciągniętego tak, żeby zasłaniało od słońca. W sali królewskiego teatru po obu stronach były łóża zakratowane; na parterze stały dwa rzędy ławek, okrytych perskimi dywanami; na nich siadały damy dworskie: mężczyźni stali. Król, królowa i infantka wsiedliży poprzedzeni przez damę z pochodnią w rękę, zasiadali w swojej trybunie. Sztukę grano wśród najgłębszej ciszy, wymaganej przez etykietę. Skoro widowisko ukończono zostało, damy wstawiały jedna po drugiej i defilując jak kanonicy po nabożeństwie, szły na oznaczone miejsce zbioru, gdzie sobie wybijały pokłony. Król następnie podnosił się z siedzenia i trzymając kapelusz w rękę, kłaniał się królowej, która znowu kłaniała się infantce. Po wybiciu wszystkich tych pokłonów, każdy szedł w swoją stronę.

Filip IV nie tylko pisał komedye przedstawiane w Buen-Retiro; prócz tego, założył w swęj willi Casa de Campo, rodzaj akademii scenicznej. Należał do niej wicekról neapolitański, hrabia Lomos i jego żona, jak również wiele innych dam dworskich, które przybywały zakwe-



fione z obawy, żeby jaki wierszyk lekki skromności ich nie obraził.

Skoro zgromadzenie było w komplecie, król zadawał przedmiot autorom zaproszonym na te dramatyczne turnieje; zwykle rozdawał gościom role podrzędne, a sobie zachowywał główną. Pewnego razu jego królewska mość kazał Calderonowi improwizować rolę Adama w komedii osnutęj na stworzeniu świata; sam wziął rolę Pana Boga. Calderon rozpoczął improwizacją, ale zakroił za szeroko. Widząc, że Bóg niecierpliwi się słuchając zbyt długiej gadaniny, przerwał opis raju ziemskiego i spytał króla co mu jest? „Co mi jest! zawołał Filip, żałuję, żem stworzył zbyt gadatliwego Adama”.

W przedmowie, którą poprzedził swój przekład teatru Molina, pan Royer namawia rodaków, żeby się zapatrywali na dawnych dramaturgów hiszpańskich tak płodnych, a tak wyższych od teraźniejszych pisarzy francuzkich; namawia ich, żeby, jeżeli nie umieją tworzyć, przyswajali sobie przynajmniej utwory tamtych, jak to niegdyś czynili Corneille i Molière.

Rady zbawienne. Rzecz widoczna, że mimo protekcyi rządu poziom sztuki ciągle opada we Francyi; mianowicie też sztuka dramatyczna nisko stoi. Nie trzeba jednak wyłącznie obwinać o to autorów; więcej może przyczynił się do tego duch czasu. Proza życia wezbrała i zalała poezyą. Społeczność zrównana nie przedstawia już owych sprzeczności, które były duszą teatru; wszyscy do siebie podobni, wszyscy mówią jednako; nie ma już śmieszności: zostały same tylko przywary. Dla tego też komedya już się nie śmieje, ale kazanie prawi. Skoro zaperzona, wypowie kradzieże giełdowe i rozboje dam kameliowych, więcej nic do powiedzenia nie ma: sama kwaśna, zamyka usta i zostawia wszystkich w kwaśnym humorze.

Tylko mieszczańska kronika kwitnie: wstąpiła na tron kroniki Cervantesowskiej i Molierowskiej wraz z fotografią. I to zapewne przejdzie, jak wszystko, wielkie i małe. Co do formy tak w książkach, jak na scenie, jak na obrazach, doskonaląc szczegóły, stracono z oczu całość; praca wykonawcza zabiła twórczość: prawdopodobieństwo, prawdę. Dla tego dobrzeby było wpuścić

nieco krwi czerwonej w uschłe żyły francuzkich dramaturgów, dać im trochę Donkiszockiej fantazyi, trochę Hidalgowskiej buty, trochę rycerskości Cyda. To pewna, że mimo swój excentryczności Hiszpanie Calderona i Hiszpanki Tirsa wydawałoby się, jak olbrzymy pośród bur-sistów i gipsowych dziewic, któremi dziś teatr francuzki przepełniony.

Dnia 26 lutego Akademia francuzka przyjmowała księcia Alberta Broglie, wybranego członkiem na miejsce s. p. Lacordaira. Pan Saint-Marc Girardin przyzydował posiedzeniu, mając przy swoim boku panów Sacy i Villemain. Wszyscy prawie członkowie Akademii byli obecni. Pomiedzy innymi, zauważaliśmy księcia Broglie, ojca przyjmowanego, pp. Thiers, Guizot, Montalembert, Dupanloup, Duchâtel i t. d. Trybuny były pełne dostojników płci obojg.

Wedle zwyczaju, pan Broglie przemówił pierwszy: przyjmowany skreślił mozolnie pochwałę swojego poprzednika księdza Lacordaira; mówił blisko dwie godziny, blado, monotennie, rozwlekle... w całej oracyi nie znaleźliśmy jednej myśli wzniosłej, jednego, wybitnego rysu dającego pojęcie o człowieku, krórego chciał przedstawić.

Pan Saint-Marc Girardin czując potrzebę poprawienia nieudolnie odmalowanej przez kolegę postaci, a tém samém zrehabilitowania w oczach publiczności, jego przechwalonych przez akademią zdolności, niby chwalcę rysunek, przerobił go zupełnie, i naszkicował wśród tych nie mówiących obrysów, prawdziwego Lacordaira. Oto początek jego mowy nacechowanej subtelnie szyderczym talentem szanownego profesora:

„Wyryłeś pan niezatartemi rysy nasze wspomnienie Lacordaira. Poznajemy w tym wizerunku wymownego księdza, wyszłego z łona społeczności 1789, księdza który nigdy téj filiacyi się nie zaparł, jak również naszego wieku, któremu zawsze służył, usiłując mu zwrócić Ewangelią, nie w sposób narzucający odstępstwo, ale uświęcający, wlewający wraz z wiarą grunt moralny, bez którego równie jednostki jak narody obejść się nie mogą. Poznajemy w tym wizerunku wolnomysłnego Dominikanina, któ-

regośmy kochali i podziwiali, który w gorącej miłości kraju (tu mówca zwrócił mowę do Dupanloup'a) obejmował Francją krzyżowców i Francją 1789 roku, Francją ś. Ludwika i Francją generała Drouot. Takim był w istocie zakonnik, któregośmy wybrali do naszego grona, wbrew podziwowi zastarzałych przesądów.

„Nieraz słyszałem mówiących, że ojciec Lacordaire jak na księdza, był zbyt zagorzałym demokratą i zbyt ludowym trybunem. Nie mogę podzielać tego zdania. Lacordaire był apostołem pojednania. To wielkie zadanie pojednania Ewangelii z rewolucją 1789 roku, czy było możebnem? Było. Ojciec Lacordaire dowiódł tego życiem i pismami: za tém dziełem bowiem przemawiał, tą myślą żył i z nią umarł. Byłoż to dzieło łatwe? Bynajmniej. Kosztowało ono Lacordaira nie mało trudu; musiał przełamywać ogromne trudności, przepływać mnóstwo skał podwodnych, naznaczonych rozbiciem wielkich żeglarzy...

„W tém miejscu niech mi będzie wolno wspomnieć Lamennai'go. Kiedy w Akademii wotowałem za Lacordairem, o Lamennai'm myślałem. Myślałem sobie, to także wielka inteligencja, która przed Lacordairem usiłowała rozwiązać olbrzymi problemat. odprowadzenia do Boga rewolucyi. Ale ponieważ geniusz jego zawsze wpadał w ostateczności, nie mógł pojąć *miłosierdnego* pogodzenia kościoła ze społecznością: rozumiał tylko albo tyrańskie zwycięstwo starego porządku nad nowym, albo też tryumf despotyczny rewolucyi nad starym porządkiem. Ta to, logika zbyt uczciwa i twarda, sprawiła iż utracił rolę, na którą przez swój geniusz zasługiwał, utracił rolę pośrednika pomiędzy społecznością a kościołem katolickim. Choć tak silny, nie mógł zwyciężyć, bo nie umiał godzić. To też jego zadanie przeszło w inne ręce, szczęśliwsze, bo mniej gwałtowne.

„Dla Lamennai'go rewolucja 1789 roku była najprzód potęgą, którą przeklinał; później uczynił z niej armią, którą popychał do walki. Dla Lacordaira rewolucja była zawsze społecznością do uewangelizowania. Tę społeczność tém łagodniej wiodł ku Bogu, iż był jej członkiem, że ona była jego rodziną, jego narodem, że był wolnomysłny jak ona, tylko lepiej od niej wiedział co jest

wolność, gdyż jój się codziennie uczył w Ewangelii; był patryotą, jak ona, dumny z jój zwycięstw, płakał nad jój przegraną, krwawił jój ranami; zawsze człowiek swojego czasu sercem i umysłem, pogodny, łagodny, bo kochał tych których został apostołem; łagodny nie przez miękkość charakteru, bo miał silną duszę, ale przez miłosierdzie Boże: *Beati mites!* Tym sposobem dane mu było przedstawić oczom naszym ideał, który dawniej roiliśmy w Lamenai'm; daném mu było zostać jednym z największych pośredników, jakich wiek nasz domaga się od religii i kościoła. Mówię *jednym z pośredników*, bo dzieło nowego przymierza jest trudne i potrzebować będzie kilku robotników gorliwych a cierpliwych jak Lacordaire...

...„Niez mordowany to był pracownik! nie odpoczął, aż w grobie. Odpoczynek był téż, co mu się najwięcej w śmierci nie podobało. Należał on do tych, co nigdy Boga o skrócenie swój missyi nie proszą, co znajdują, że aż nadto będzie czasu odpoczywać w wieczności. Przywiedzimy tu ów piękny ustęp z jego listów rzymskich:

„Zaszedłszy na cmentarz nie daleko od katakumb położony, uderzony zostałem napisem wrytym na jednym grobie: „Płacz nad umarłym, albowiem spoczął”. Nie trudno mi było odgadnąć słów tych znaczenia. Płacz nad nim, ponieważ spoczął w *dobrze czynieniu*, bo ręce jego nie mogą już dawać, a nogi iść naprzeciwko nieszczęścia... bo wewnętrzności jego już nie porusza cudza boleść... Płacz nad umarłym, gdyż czas cnoty dlań skończony, bo już do korony swój nie dorzuci; płacz nad umarłym, bo już nie będzie mógł umrzeć dla Boga! Bliskość katakumb długo powyższe myśli odżywiała w duszy... Popatrzyłem na Rzym stary, miasto wieczne, i poszedłem wolno do celi, szczęśliwy że się czuję na chwilę oddalonym od mojego wieku, ale nie pragnąc żyć w wieku spokojnym, bom usłyszał przy grobie świętych i męczenników, to wzniosłe ostrzeżenie: „Płacz nad umarłym, albowiem spoczął”!

...„Bohaterska czynność Lacordaira w niczem nie była podobną do czynności niecierpliwój i próżnej ambicyi, którą tak często napotkać można kręcącą się, w czasie w którym żyjemy. Czynił, wiedziony spokojną wiarą, nie

przesadzając ani sił swoich ani misji; działał z miłością i nadzieją. Święta nadzieja jego nie będzie zawiedziona! Lacordaire, jakby dla lepszego jej sobie zapewnienia, za ostatnią dni swoich pracę wybrał wychowanie dzieci. Ta uprawa przyszłości była najśłodszym z jego znojów. Czuł się szczęśliwy przyszlą zaernością tych, których wychowywał. Skoro myśl jaka gorzka ubodła go w duszę, Lacordaire nie przeklinał społecznej ludzkości, ale pokładał nadzieję w dzieciach, to jest w przyszłości.

...„Tak dalece był człowiekiem swojego czasu, iż od poszanowania przeszłości wołał złudzenia przyszłości.

...„Pracować nad odprowadzeniem społeczności Bogu; oddać światu wiaty, który świat odrzucił, zwrócić mu go, nie każąc tego okupywać wyparciem się żadnej z wielkich nadziei, tylko wlewając przekonanie, że tym nadziejom Bóg pobłogosławi skoro ku Niemu się zwróci: oto wielkie zadanie, które pełnił Lacordaire, które uwieńczył miłością młodzieży prosząc dla niej przyszłości o to, czego jeszcze od terażniejszości nie otrzymał”.

W dalszym ciągu mowy, pan Saint-Marc Girardin, rozbierał dzieła pana Broglie: *„Studia moralne i literackie”* „*Kwestye religijne i historyczne*” a mianowicie jego *„Historya kościoła chrześcijańskiego i państwa rzymskiego w IV wieku”*, gdzie autor miał wydecyfrować charakter Konstantyna, owego sfinxa, którego istoty nie można było zrozumieć pośród panegiryków i przekleństw historycznych. W końcu, w imieniu Akademii podziękował i powinszował, iż tak znakomicie skreślił dzieje wielkiej inauguracji siły moralnej na świecie, iż tak wymownie wypowiedział cały ten ustęp historyi, przynoszący zaszczyt przeszłości a zachętę przyszłości.

---

Pod tytułem: *„Historja parlamentarna Francji”* Guizot wydał w dwóch tomach swoje przemowy słyszane w paryżkiej izbie deputowanych. Prócz tego, napisał obszernie studjum pod tytułem: *„Pokolenie 1789, 1814, 1825 i 1848 roku”*. Pierwsze rozdziały tej porównawczej pracy, umieściła *Revue des Deux Mondes* w poszycie z 15 lutego.

— Proudhon napisał rzecz „O zasadzie federacyjnój.” W książce swój usiłuje dowieść, że forma federacyjna sama jedna odpowiada społeczności światłej a chcąc być niezależną. Radzi w ten sposób urządzić Francją, a mianowicie Włochy nie mogące się ostać w innym kształcie.

Obecnie Proudhon przysposabia wydanie paryżkie „*Majoratów Literackich*,” które był wydał w Bruxelli z okazji kwestyi własności literackiej, a którą to pracę zakazano we Francyi. Od owego czasu, kwestya najeżona trudnościami, nie postąpiła wcale. Spodziewano się, że projekt do prawa o własności literackiej zostanie przedłożony ciału prawodawczemu w ciągu obecnie toczących się obrad, ale to nie nastąpi. Komisyja daleka od ukończenia obrad, ledwie za rok rezultat prac swoich izbie złoży.

— Juliusz Defontaine wydał książkę pod napisem „*Szwecya w XIX wieku*.” Autor bada obecny stan tego kraju i usiłuje wykazać stanowisko, jakie pod względem handlowym winien zająć w Europie. W tym celu zgromadził szczegóły statystyczne bardzo kompletne, o produkcji, handlu, marynarce, drogach, rolnictwie i przemyśle Szwecyi. Do tego dodał krótki pogląd historyczny, gdzie zdaje sprawę z narodowego i politycznego rozwoju Szwecyi. Ta część dzieła jest słaba dla czytelników północnych, ale dla Francuzów nie znających wcale historii szwedeckiej, wystarczająca. Nawet ci, co czytali kilka nowych publikacyj o tym kraju, zdziwią się wyczytawszy w książce pana Defontaine, iż narody skandynawskie rzuciły w szczepy germańskie pierwsze zarody oświaty; że poezya ich służyła za wzór ludom ościennym; że przez czas jakiś byli panami mórz, rozciągnęli swe osady aż do morza Środkowego i wzdłuż oceanu; że w X wieku ukolonizowali Grenlandyę i że Norwegczycy dobili do brzegów Ameryki, o wiele pierwój nim Kolumb zatknął na tej ziemi chorągiew hiszpańską.

— Arsen Houssaye napisał dwie nowe książki: dla artystów, obszerne studyum *Życia i dzieł Leonarda da Vinci*; dla powszechności romans obyczajowy paryżki, pod tytułem „*Panna Kleopatra*.” Pierwsza już wyszła; druga ma, wyjść nie długo.



— Alfons Karr zawsze ogrodnictwem trudniący się w Nicei, dokonał nowych spostrzeżeń psychologicznych nad kwiatami swemi. Piérwsza część tych studyów pod napisem *Historya Róży*, ma wyjść wkrótce z pod prassy, czego niecierpliwie oczekują wielbiciele talentu znakomitego poety-ogrodnika.

— Alexander Dumas, prócz *Pamiętników* swoich, które na nowo począł wydawać z włoskiego dziennika *Independento*, wydawanego co dzień w Neapolu, napisał dla pani Ristori w ciągu dni pięciu, dramat pięcio-aktowy, pod tytułem: *Lorenzo de Medicis*. Sztuka będzie przedstawiona niebawem w teatrze San Carlo. W Italii, ziemi improwizacyi, Dumas chce być jeszcze mistrzem i jest: w tych czasach nikt mu tam jeszcze nie dorównał bogactwem wyobraźni i łatwością jej wyrażenia.

Panowie Legouvé, Lasteyric, Henryk Martin, Taine i Samson chcieli zaprowadzić w Paryżu angielskie „odeczyty” na korzyść wyrobników bez roboty. Podawali w tym celu petycyą do ministra, ale ten bardzo grzecznie odmówił. Tak więc angielska moda, na chwilę tu przyjęta, przeminie bez śladu, bo nic łatwiejszego jak odzwyczaić ludzi od zajęcia, do którego nie mają wrodzonego pociągu.

Jedne tylko odeczyty Dickensa utrzymują się, może dla tego, że go mało który Francuz rozumie. Wiedziony miłosierdziem, sławny romansopisarz przybył tu zapukać do serca rodaków i przemówić do nich w imieniu ubóstwa Lancashiru. Protegowany dewizą wyrytą około herbu Wielkiej Brytanii na angielskiej ambasadzie, „Bóg i moje prawo” nazbierał masę gwineów, rozbierając a raczej odgrywając z talentem doskonałego aktora w gronie wykwintnych słuchaczy, swoje trzy najlepsze romanse. Należy żałować, iż tak obfite a szlachetne źródło przychodu, którego nawet jałmużną nazwać nie można, dla ubóstwa francuzkiego zamknięto.

